

# Jan Prokop

---

## Krytyk jako stwórca

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 4-5 (28-29), 86-94

---

1976

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Jan Prokop*

### **Krytyk jako stwórca**

Kiedy myślimy o krytyku, myślimy o takim panu, który pisze o książkach. Wyjaśnia, chwali, spiera się z autorem. Niekiedy próbuje sformułować zasady tego wyjaśniania, chwalenia, ganienia. Jest to krytyka dialog z dziełem. Często rozmowa głuchych.

Nie o takim krytyku i nie o takiej krytyce chciałbym tutaj mówić.

Od książki  
do literatury

Chciałbym tutaj mówić o wcześniejszym stadium powstawania literatury. Ó momentcie stwarzania Literatury z tego, co napisane. O geście powołującym do istnienia książkę jako literaturę. Gdy krytyk jak dobra (?) wróżka dotknięciem pałeczki wzywa „z nicości” dzieło, gdy z magmy tego, co napisane, rzeźbi oblicze literatury. Jest to szczególnie aspekt krytyki, umykający zwykle naszej świadomości.

Krytyk bowiem, który pisze o książkach, gani je lub chwali, to głos wśród innych głosów. Jego publiczne słowa są przeciw innym publicznym słowom, jego argumenty przeciw innym argumentom. Oto głos dzieła, oto głos krytyka, spierają się te głosy lub wspierają. Jest to sejmik literatury, gdzie każdy ma równe prawa. Jeśli dochodzi do pojedynków, to nie brak widzów oceniających postawę i dzielność prze-

ciwników. Przeciwnik pokonany ma szanse rewanzu, jego racje są znane, jego argumenty mogą odzyskać wagę i skuteczność. Najostrzejszy *knock out* nie zdoła odebrać dziełu jego nieodwracalnego istnienia jako literatury. Wszystko dzieje się tu w świetle dziennym, nie ma decyzji ostatecznych. Ci, co toczą spór, otrzymali przecież kartę wstępu do raju, są wśród wybranych. Po prostu są.

Natomiast „tamtych” nie ma, nie urodzili się. Tamci, tzn. dzieła nie wezwane, nie wybrane, skazane na wieczną otchłań nie drukowanego rękopisu. Nieprawdą bowiem jest, że dzieło literackie stwarza autor, ten pan, który pisze rękopis. Autor rękopisu jest osobą całkowicie prywatną, budzi szacunek teściowej, niepokój lub dumę żony i dzieci. Może to być M. Z. lub Cyprian Norwid.

Każda epoka wypowiada się niesłychaną mnogością głosów. Z tego mnóstwa ocaleje parę kartek, parę wierszy, ocaleje, tj. znajdzie żywego żyranta wśród potomności, kogoś, kto zainwestuje (zaryzykuje) swój czas i uwagę na lekturę tekstu. Ale szansę takiego wybawienia z czyścica — ocalenia od zapomnienia mają ci, co już trafili na literacką scenę, co już zaistnieli jako fakt literacki w książkach i pismach. Oto magia druku, który unieśmiertelnia Ludwika Epifaniego Minasowicza i Adama Napoleona Mickiewicza. Obaj bowiem weszli do literatury — na chwałę lub pośmiewisko.

Ale dobre samopoczucie literatury nawiedza widmo wiecznie potępionych, odrzuconych, skazanych bez słowa obrony. Zamordowanych skrytobójczo recenzją wewnętrzną. Oto pojękiwania błędnych duszy-czek nigdy nie narodzonych książek. Nie istniejąca alternatywa Literatury. Pusty obszar z odstrasającym napisem jak na wrotach Dantejskiego piekła: Grafomania.

Grafomania jest wygodnym alibi Literatury: jasne, że wybrano właśnie najlepszych: decyzja wyboru nie ma w sobie nic arbitralnego, zgodna jest z Normą

Nie drukowana  
otchłań

Skrytobójcze  
recenzje

(Piękna, Dobra i Prawdy). Poprzez moją decyzję — mówi (myśli) krytyk — realizuje się wola Absolutu. Oto ja, mówi (myśli), buduję świątynię Wiecznego Piękna (Prawdziwą Sztukę), moje drobne kroczki prowadzi mocna ręka Literackiej Opatrzności. Nie wybieram w udręce, nie wybieram na oślepa, nie jestem kostką wyrzucającą przypadkowe numery w niewiadomej loterii.

Grafomania jako zbiór słusznie odrzuconych umożliwia i usprawiedliwia Literaturę, jest cieniem wydłużającym jej blask i boskość. Chciałoby się rzec gwarantką, morzem ciemności wyznaczającym jej granice. Czymże bowiem jest Literatura, jeśli nie — Nie-grafomanią?

Ale to właśnie krytyk rozdziela światło od ciemności, kozły od owiec. On przewozi dzieło z brzegu nieistnienia, z mroków prywatności w jasność. Autor przynosi tylko glinę ziemi, ciasto rękopisu, z którego tamten lepi kształt doskonały dzieła sztuki wystawionego na publiczny podziw. Otóż ta właśnie najważniejsza operacja — stwarzanie Literatury z Prywatności — dokonuje się przy drzwiach zamkniętych. O ile krytyka-interpretacja i osąd dzieła-faktu literackiego dokonuje się na oczach wszystkich, jest to proces jawny, to krytyka-selekcja jest sądem kapturowym bez możliwości obrony, w podziemiach gmachu Literatury.

Ale mój zamysł tutaj nie jest zamysłem moralisty. Jerzy Kwiatkowski pisał kiedyś, że krytyk powinien być — jak Pan Bóg — sprawiedliwy. Otóż sprawiedliwość wobec owych duszyczek błędnych — skazanych na wieczne potępienie bez sądu i możliwości obrony — nie leży w moich kompetencjach. Nie wiem, jak im pomóc, jakie modły za nie odprawiać. Może wszystko drukować? Ale za czyje pieniądze? Akt upowszechnienia tekstu jest aktem jego uspołecznienia, a więc społeczeństwo, jego reprezentanci wydelegowani lub uzurpatorzy mają prawo decydo-

**Krytyki:**  
interpretująca  
i selekcjonująca

wać, co chce, czego nie chce. Ono (oni) mają klucze do raju jak święty Piotr.

Pewne nurty kalwinizmu głosiły niegdyś, że ci, którym się powiodło, są mężami sprawiedliwymi i upodobanymi przez Boga, bankructwo zaś finansowe jest widomym znakiem cofnięcia boskiego błogosławieństwa lajdakom. Taki zmistyfikowany model jest bardzo wygodny i kuszący w literaturze dla zamaskowania rzeczywistych układów autor — krytyk (dyspozytor) — czytelnik. Oto, przyjmuje się najchętniej, najlepsze dzieła potrafią wywalczyć uznanie dla swojej rzeczywistej, obiektywnej wartości. Mimo chwilowych porażek cnota artystyczna tryumfuje, występki zostają ukarane. Nasz osąd jest wyrazem sprawiedliwości (dziejowej, boskiej itp.), czujemy się zresztą ciepło i bezpiecznie w takiej komitywie z obiektywnymi wartościami, których głosem wierzymy, że jesteśmy. Miło jest utożsamiać się z Najwyższym Trybunałem (dziejowym, boskim itp.).

Jeżeli kształt literatury został utworzony przez krytyka (dyspozytora-manipulatora), tj. tego, co dokonuje selekcji, nie tego, co komentuje i objaśnia już święte teksty (przy czym autor jest o tyle twórcą, o ile krowa, a nie kucharz jest twórcą befsztyka *à la Stroganoff*), to krytyk usiłuje wmówić, że kształt ten nie jest wynikiem jego arbitralnych decyzji, jego przypadkowych wyborów, jego chaotycznych gustów, ale że jest zgodny z Najwyższą Hierarchią Wartości. Jest to mistyfikacja, która towarzyszy zresztą (psychologicznie umożliwiając go) każdemu aktowi wyboru. Nawet wybierając ptysia albo kremówkę, dopisujemy do tego metafizyczne motywacje. Nie do zniesienia bowiem jest wizja świata jako loterii, wizja literatury, gdzie o sukcesie decyduje wiązka okoliczności całkiem przypadkowych. Co za konkretny tekst zostanie użyty do pełnienia funkcji, na które istnieje aktualne zapotrzebowanie, jest bowiem równie mało ważne jak to, z której krowy befsztyk spożyje arcyksiążę podczas koronacji cesa-

Krowa czy  
kucharz?

rza. Tekst, ów żywy i ciepły dla Maryli pisany, jest tylko substancją nieistotną, bo wymienialną. Podobną funkcję może pełnić inny tekst równie żywy i ociekający krwią — dla Delfiny lub dla Laury. Jest ich tysiąc. Naiwna jest ta wiara dziecinna w jedyność dzieła, w niepowtarzalność dzieła, tak jak tęsknota czytelników popularnych magazynów do jedyności ludzkich losów w istocie prefabrykowanych według schematów i osadzanych na jakimś nazwisku: Marylin Monroe, Brigitte Bardot, księżniczka Małgorzata. Ograniczoną ilość premiowanych miejsc zajmuje „pierwszy lepszy”, ten, kogo akurat zgarną grabki krytyka-selektora. Powtarzam: według naiwnego wyobrażenia to najlepsze dzieła przebijają się swym ciężarem gatunkowym poprzez sieć różnych przeszkód i zajmują należne im pierwsze miejsca: historia rzeczywista jest potwierdzeniem historii idealnej, to, co jest — potwierdzeniem tego, co być powinno. Nie wątpię, że ten model daje dobre samopoczucie krytykom dysponentom i szczęściarzom, którzy owe premiowane miejsca zajęli.

*I vice versa*

Psychoanalityk powiedziałby, że dokonuje się na skale społeczną obciążenia treści wstępujących z podświadomości. Że cedzi się to, co dopuszczalne dla świadomości, dla praktyki i „dziennej” działalności. Nurty nadrealistyczne zresztą rzeczywiście obywają się bez uwydatniającego rysy Literatury Pięknej cienia Grafomanii. Ta ostatnia jako *repoussoir* potrzebna jest raczej klasykom. Od nich właśnie się wzięła jako pojęcie nieudolności, niespełnienia reguł, niedorastania do ogólności wszechludzkiej. Gdyż nadrealizm jako zasadę przyjął swoisty brak selekcji, zniesienie organów kontroli *ratio*: tekst jest zapisem automatycznym, strumieniem skojarzeń — mówmy więc wszystkim.

Ale złagodźmy nieco ów furor rewindykacyjny. Naiwnością byłoby sądzić, że literacki gabinet cieniów reprezentuje nowe oblicze Literatury. Ze tłumy Norwidów wrzucono do koszu redakcyjnych

i wystarczy tam sięgnąć, aby Literatura zajaśniała nowym blaskiem. A przynajmniej całkiem nowym blaskiem.

Natomiast równą naiwnością jest sądzić, że książkę przynosi czytelnikowi autor. Podczas gdy autor jest surowcem, rudą, z której inni tworzą literacki produkt. Jak wiadomo zresztą, surowce są wymienialne. Mistrz nawet z podłego surowca ulepi kształt prawie doskonały. To, co dostaje czytelnik, jest produktem innych rąk, niż to sugeruje karta tytułowa. Wciąż myślimy wzorami sprzed wieków. Gdyby autor przyniósł nam rękopis, potraktowalibyśmy go jak natręta, podczas gdy za jego wydrukowaną książkę płacimy niekiedy dużą sumę. Jego rękopis nie jest bowiem uświęcony, pasowany na Literaturę, jest jeszcze sprawą prywatną. Podobnie w Stanach nikt nie schyli się po jabłko leżące w trawie pod jabłonią w opuszczonym sadzie fermy, ponieważ nie są to „jabłka” jako produkt spożycia — wiadomo, że jabłko kupuje się w sklepie i mają one naklejkę np. *delicious*, wtedy dopiero wchodzi w obieg społeczny. Jabłka pod jabłonią — podobnie jak rękopis — są tylko naturą.

Otóż ta sytuacja nie wydaje się odwieczna. Inaczej kształtowała się w średniowieczu, inaczej w kulturach pierwotnych. Instytucja selekcji udzielająca kart wstępu do Literatury to sprawa czasów nowożytnych, gdy jednostka ulega określonym naciskom społecznym, poddana jest szczególnym przymusom. Jej działalność ujęta jest więc w określone ramy, zwężające pole spontaniczności. Oto konik polny, którego programem jest ekspresja osobowości — śpiewaj i tańcz — oto mrówka przypominająca — oszczędzaj i pracuj.

Śpiewanie i tańczenie wchodzi więc w określone ramy, odbywa się ku pożytkowi ogółu pod kontrolą dyrygenta. To on staje się organizatorem, a wreszcie reżyserem i twórcą widowiska. Tańczą i śpiewają nie ci, którzy mają na to ochotę, ale ci, których on wy-

Surowiec  
autorski

Rama ograni-  
czająca spon-  
taniczność

bierze na tancerzy i śpiewaków, pasuje według własnego uznania, jak to dawne przywileje królewskie formułowały: *selon notre bon plaisir*.

Powtarzam: jeśli autor wręcza mi do przeczytania swój rękopis, to jest to dla mnie co najwyżej szansa pewnych doznań estetycznych (jeśli takie w stanie czystym istnieją). Nasz kontakt jest sprawą prywatną, wymaga ode mnie decyzji na własną rękę, z całym ryzykiem decyzji czysto jednostkowej i z całą udręką takiej decyzji. Natomiast gdy kupuję książkę w księgarni z tym samym tekstem, konsumuję nie prywatny utwór, jabłko podniesione w rowie (może z robakiem?), ale Literaturę, której owa książka jest delegatem, reprezentantem, posłem. A więc System Wartości Sprawdzonych, za którymi stoi społeczność (wszak wyznaczyła obszar Literatury decyzjami swych wyrazieli). Czytając ową książkę, biorę udział w tym, co społecznie uznane, potwierdzone, a tym samym unikam ryzyka błędzenia po wertepach jednostkowych wyborów, przeżywam najśłodsze rozkosze konformizmu, czuję na swoim karku ciepły oddech gromady (może to być zresztą gromada snobów).

Oto obserwujemy szczególny paradoks: wmawiamy sobie, że obcujemy z jednostkowym dziełem, podczas gdy obcujemy najpierw z Literaturą jako Systemem Uznanych Wartości, których dzieło jest wtórnym, wymiennym, niekoniecznym w swej jednostkowości przykładem i okruchem. Idzie nam nie o żadne przydrożne spotkania z nieznanym wędrowcem niosącym nam skarby swojej mądrości, ale o udział w misterium wspólnoty poprzez Literaturę. Nieupośrednione spotkanie twarzą w twarz wymieniliśmy na spotkanie z Wielkim Anonimem, reprezentowanym przez milion wymiennych twarzy. Lektura dzieła staje się modlitewką (wymienną!) ku czci.

Gwarancję, że Literatura jest społecznie sprawdzoną Wartością, stanowi jej, jak powiedzieliśmy, przeciwstawienie — Grafomania, tak jak istnienie Piekła

Prywatność  
i sprawdzone  
wartości

Literackie  
misterium



umożliwia Niebo. Odrzuceni konsekrują wybranych. Cień ujawnia blask. Znamy blask, ale jaki jest cień Literatury — Nie-Literatura? Ta część odrzucona i niebyła każdej epoki? Jeśli mówimy: część odrzucona i niebyła, to nie idzie tylko o realną zawartość redakcyjnych i wydawniczych kosztów. Idzie także o możliwości, które się nie zrealizowały, udaremnione już jako zamiar, nie ujawnione i zaduszone pod grubą skorupą Literatury. Nawet rękopis bowiem może (z rzadkimi wyjątkami) pojawić się dopiero w pewnym horyzoncie możliwości.

Zamordowane  
możliwości

Zawartość kosztów redakcyjnych to nie zawsze owa *hybris*, która swoim groźnym bezkształtem straszy dobrze ułożone formy Literatury, bardzo często to przedwczorajsza Literatura, tylko spóźnione echo niedawnej przeszłości. Oczywiście jest bowiem, że Literatura jako Instytucja preformuje to, co dopiero powstaje. Mniej rolgarnięci dają się kształtować przez formy wczorajsze, sprytniejsi przez najnowsze. To, co odrzucone, jest zapewne zresztą równie niedobre (również dobre) jak to, co przyjęte.

Jak już mówiliśmy, to, co otrzymujemy do spożycia jako rzekomo niepowtarzalne dzieło jednostki proponujące nam szczególne *tête à tête*, jest przebrany emisariuszem Literatury, z jej wysokiego autorytetu przemawia. Jego siła i sugestywność, jego „mana” bierze się właśnie z owej Instytucji, którą reprezentuje. To ona obdarza książkę, którą bierzemy do rąk, szczególnym prestiżem. Za plecami każdej okładki stoi nie pan X. Z., ale budzący nabożeństwo czytelnika system społecznie sprawdzonych wartości. Książka otrzymuje szczególnie charyzmat, którego pozbawiony jest prywatny świstek papieru zabazgrany czymś mniej lub bardziej niekaligraficznym piśmem. Każdy pisarz jest do zastąpienia, jego jedyność jest sprytnie sfabrykowanym przez manipulatorów mitem, tak jak jedyność buzi *cover-girl* na okładce popularnego magazynu. Co trzecia dziewczyna może być (i może nie być) *cover girl*.

Charyzmat  
literatury

Otóż krytyk jest tym, który wybiera kandydatów do święceń, aby tchnąć w nich Ducha Literatury. On słowom ich daje moc i doniosłość, nawet gdyby były bezradnym jękaniem. On właśnie: *Demon, Deus et Omnia.*